Przystanek historia

https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/78538,Pod-schodami-czyli-swiat-nizszego-personelu-MSZ-na-przykladzie-Polakow-w-ZSRS-z-.html

Oficjalna wizyta ministra spraw zagranicznych Józefa Becka w ZSRS, luty 1934 r. Fot. NAC

ARTYKUŁ

„Pod schodami”, czyli świat niższego personelu MSZ (na przykładzie Polaków w ZSRS z okresu międzywojennego). Słów kilka

OKRES HISTORYCZNY

(1922-1939) II Rzeczpospolita

Autor: MARCIN KRUSZYŃSKI 19.02.2021

Myśląc o polityce zagranicznej II RP, patrzymy na nią przeważnie przez pryzmat

czołowych postaci ją kształtujących oraz szefów placówek dyplomatycznych realizujących linię wypracowaną przez kierownictwo resortu. Umyka natomiast naszej uwadze „zaplecze” ambasad – świat pracowników niższego personelu tych placówek.

Wraz z procesem technologicznych i gospodarczych zmian, rewolucja przemysłowa wieku XIX spowodowała także refleksję nad charakterem ludzkiej pracy. Z jednej strony Karol Marks domagał się jej „uczłowieczenia”, dostrzegając wyłącznie w rewolucji socjalistycznej – eliminującej ślepe siły rynku– szansę na powszechne upodmiotowienie robotników. Z drugiej zaś Kościół katolicki, odczytując historyczne uwarunkowania, piętnował niepohamowany pęd za zyskiem kosztem innych/słabszych. Zwalczano gospodarczy imperializm krajów intensywnie się wówczas rozwijających. Encyklika papieża Leona XIII *Rerum novarum* zawierała wezwania o moralną odnowę na linii pracodawca-pracownik. Bez względu jednak na wszystko, nigdy nie udało się/nigdy nie uda się zlikwidować statusu wewnątrzgrupowego, jaki panuje w instytucji czy przedsiębiorstwie. Może być on rezultatem przesłanek formalnych (np. pozycja w organizacji), lub np. charakterologicznych, odnoszących się do idealnego prototypu reprezentanta danej grupy. Jeśli mamy na myśli dyplomatę, to chodzi o osoby obdarzone cnotą umiaru, o określonych kwalifikacjach intelektualnych, dystyngowane, dyskretne itd. itd.

> W 1934 r. Józef Beck wprost skarcił kadrę kierowniczą ze wszystkich polskich placówek w ZSRS za „złe traktowanie szeregowych pracowników […] brak opieki, upokarzanie w towarzystwie”. Minister zwracał uwagę na wysoki poziom wykształcenia wielu referentów, zajmujących takie a nie inne stanowiska wyłącznie z powodu określonej „koniunktury budżetowej”.

W 1918 r., wraz z odbudową państwa polskiego, rozpoczęło się tworzenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych (MSZ), z jego siecią placówek dyplomatycznych i konsularnych. Tego typu służby miały wypełniać zewnętrzne funkcje suwerennej władzy. Natomiast dopiero w 1921 r., po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, na mocy postanowień traktatu ryskiego, poselstwo Rzeczypospolitej Polskiej (RP) utworzono w Moskwie. Kilka lat

później w Związku Sowieckim uruchomiono również konsulaty/konsulaty generalne (Leningrad, Mińsk, Kijów, Charków, Tbilisi). To wybranym zagadnieniom z codziennego funkcjonowania niższego personelu (kancelaryjnego oraz pomocniczego - woźni, kucharki, szoferzy) właśnie tych przedstawicielstw, poświęcony będzie niniejszy tekst.

Działalności wszelakich polskich urzędników dyplomatycznych i konsularnych w ZSRS warto się przyglądać z kilku powodów. Nie chodzi wyłącznie o fakt kluczowych dla II RP relacji z Kremlem. Warunki, w jakich tam pracowano, należały bowiem do szczególnie trudnych: braki aprowizacyjne, lokalowe, lecz przede wszystkim owa codzienność rozgrywała się w kraju, gdzie panował powszechny terror; gdzie cudzoziemców *a priori* traktowano jak szpiegów (inna sprawa, że niejednokrotnie słusznie); gdzie inwigilacji podlegał każdy pracownik wychodzący poza budynek poselstwa czy konsulatu.

Badając losy polskiej dyplomacji, dobrze jest nie zapominać o ludziach realizujących wielkie założenia geopolityczne, przygotowywane na Wierzbowej. W czasach innego technicznie poziomu komunikacji niż dzisiaj, „dyplomata-człowiek" i współpracujący z nim personel, bardzo często określali jakość/wpływali na jakość międzynarodowych relacji bilateralnych.

Dawna siedziba Poselstwa Polski w Moskwie przy ówczesnej ul. Worowskogo w Moskwie (1921–1934). Fot. Wikimedia Commons/ Moreorless - Praca własna, 2009 r. (CC BY-SA 3.0)

Relacje zwierzchnik– podwładny, czyli o dominacji i autorytaryzmie (?)

Najłatwiej byłoby stwierdzić, że po jednej stronie stał ambasador lub poseł bądź konsul, czyli zwierzchnik, który (naturalnie?) nie postrzegał podwładnych jako równych sobie. Dominował nad resztą (nad gorszymi grupami?), co w dyplomacji wyrażało się też różnicą w stroju; w odpowiednim ustawieniu przy stole czy w

stosowanej tytulaturze. Do tego dochodziły uwarunkowania kulturowe opisywanych czasów. Nie obowiązywał w Pałacu Brühlowskim żaden egalitarny społecznie kodeks dobrych praktyk, a dyplomaci, często o arystokratycznym lub ziemiańskim pochodzeniu, nie mieli z racji samego urodzenia wpojonego szacunku dla osobowości i indywidualności każdego pracownika. Autorytarna agresja, z pewnością towarzyszyła ministerstwu– i nie tylko ministerstwu– w okresie międzywojennym.

Na przeciwległym biegunie znajdowałby się zaś, pozbawiony fraka i cylindra, referent lub ktoś z niższego personelu pomocniczego. Ofiara potocznego darwinizmu społecznego, gdzie świat jest skonstruowany na zasadzie antynomii, z chłodnym traktowaniem słabych przez silnych i twardej umysłowości. Taki opis jest– rzecz jasna– zwulgaryzowany i uproszczony. Ginie w nim jakikolwiek kapitał społeczny, budowany na zaufaniu. Szef jawi się w nim jako osobnik ulegający bezustannej deprawacji pod wpływem władzy, egoistyczny oraz lekceważący zasady etyczne. Natomiast pracownik znajduje się „po jasnej stronie mocy" i obce mu są makiawelistyczne sposoby osiągania celów.

Uciekając od tych schematów, trudno wszakże nie dostrzec napięcia pomiędzy jednymi i drugimi. Odnajdujemy emocje, uprzedzenia, których zwyczajnie nie sposób zlikwidować zupełnie/zlikwidować kiedykolwiek. Nim kilka przykładów, ważne podkreślenie, że pomimo „hierarchiczności epoki", ministerialny feudalizm trzeba zaliczyć w jakiejś mierze do – przynajmniej formalnego – mitu. W 1934 r. Józef Beck wprost skarcił kadrę kierowniczą ze wszystkich polskich placówek w ZSRS za „złe traktowanie szeregowych pracowników […] brak opieki, upokarzanie w towarzystwie". Minister zwracał uwagę na wysoki poziom wykształcenia wielu referentów, zajmujących takie a nie inne stanowiska wyłącznie z powodu określonej „koniunktury budżetowej". W MSZ, w Wydziale Wschodnim, zdaje się, że ceniono kwalifikacje. Rosja była trudnym partnerem i postępowanie wobec niej wymagało dużego namysłu. Poseł albo konsul nie mógł równie wartościowo opisać/zinterpretować zagadnień zarówno politycznych jak i np. gospodarczych czy kulturalnych. Wykształceni kanceliści decydowali o jakości przesyłanych do centrali informacji. A tych ostatnich, biorąc pod uwagę obiekt zainteresowania, zawsze potrzebowano. Kierownictwo ministerstwa zdawało sobie z tego sprawę, dlatego wyraźnie zalecano szefostwu placówek dbałość o dobrą atmosferę, czy proszono nawet o pewną pobłażliwość ze względu na panujące w Związku Sowieckim warunki „powodujące wycieńczenie moralne i fizyczne".

> Łamiąc wszelkie przepisy, upijano się w miejscowych restauracjach. Ponadto utrzymywano bliskie relacje z moskiewskimi prostytutkami. Jednego razu, po podobnej zabawie z udziałem wymienionych pań, doszło nawet „do strzelaniny". Woźny z polskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego, wyciągnął broń i zaczął

strzelać na wiwat.

Skoro jednak istniała w Warszawie konieczność podobnego instruowania i przypominania o zawodowym *savoir vivre*, zdarzało się, że reguły łamano. Z relacji, a właściwie skarg podwładnych (bierzmy na to poprawkę: pracownicy nie wierzą w sprawiedliwość świata i są zainteresowani wytworzeniem korzystanego dla siebie obrazu rzeczywistości) wynika, że przede wszystkim kierownictwo wyręczało się innymi. Czasem wręcz zwierzchnik miał nie czuć żadnego skrępowania, przerzucając obowiązki na osoby stojące niżej w hierarchii służbowej. Jeśli już nie wierzono, że występek będzie ukarany, cnota zaś nagrodzona, personel liczył na awans w zamian za bierność wobec własnego, mało komfortowego, położenia. Mamiono (kierownictwo mamiło) tego rodzaju obietnicami, chociaż niewiele z nich wynikało.

Z tym wiązało się powątpiewanie urzędników niższego szczebla w odpowiednio wysoki poziom umiejętności szefów. Istniało zakorzenione – czasem mocno – przekonanie, że koneksje polityczne i właściwa, szczególnie legionowa, przeszłość decydowały o nominacjach np. przeróżnych „totumfackich sanacji" (po roku 1926). Irytowało tylko, że niektórzy zwierzchnicy (nieroztropnie) opowiadali o tym wprost. Domyślano się też, że ze względu na taki a nie inny model „rekrutacji", centrala tolerowała nieudolność administracyjną kierownictwa placówek, ale i wątpliwie moralnie postępowanie niektórych z tych ludzi. Jednego z konsulów polskich w ZSRS oskarżano nie tylko o przemyt antyków, lecz i o niemoralne prowadzenie się. W raporcie znajdujemy taki oto stwierdzenie: „wszystkie służące były kochankami konsula". Dodam, że chodziło o pięć pań.

Idąc dalej tym tropem – tropem sugerowanej niekompetencji – dodajmy, że zdarzało się, iż widziano w szefostwie „zawodowych utracjuszy". Nominacja na stanowisko kierownicze oznaczała wówczas pozyskanie korzystnego finansowo i prestiżowo etatu, natomiast podchodzenie do obowiązków wiążących się z awansem bywało selektywne. Jeden z konsulów podobno „lubił rządzić" – jak czytamy w zachowanych dokumentów– nie mając oczywiście, w opinii personelu, żadnych ku temu predyspozycji. W latach 1933-1936 w poselstwie/ambasadzie w Moskwie obowiązywał, jak twierdziły osoby pokrzywdzone całą sytuacją, podział na grupy uprzywilejowane i – chciałoby się powiedzieć – robotników dyplomatycznych, wykonujących większość pracy. Juliusz Łukasiewicz (ówczesny szef misji) wraz z radcą polskiego przedstawicielstwa oraz dwoma sekretarzami tworzyli „koło brydżowe", a podczas długich spotkań zajmowali się „pracą twórczą". Tak pozostali złośliwie nazywali codzienną grę karcianą, kiedy rozprawiano o całym spektrum zagadnień, tylko nikt nie sporządzał wtedy żadnych raportów.

Panorama ulicy Gorkiego w Moskwie. Fot. NAC

Rytm pracy, albo raczej rytm codziennego funkcjonowania placówki, regulował zwierzchnik, narzucając zwyczaje pozostałym. Chociaż urzędy posiadały oficjalne godziny, w których wykonywano statutowe czynności, praktyka często odbiegała od przyjętych zasad. Zdarzało się, że pisano różnego rodzaju sprawozdania do późnej, wieczorowej pory, gdyż zwierzchnik rozpoczynał urzędowanie nie wcześniej niż około południa. Dobrze było, jeśli w ogóle rozpoczynał urzędowanie.

Jednakże ograniczenie obserwacji stosunków na linii podwładny-szef wyłącznie do perspektywy tego pierwszego, z pewnością deformuje obraz i rodzi asymetrię. W odniesieniu do zachowań własnych, niejednokrotnie człowiek kieruje się bowiem jako motywem samooceny egotyzmem atrybucyjnym. Tłumacząc różnego rodzaju postępowanie, mamy tendencję do pochlebiania sobie, winny szukając w kimś innym, zwłaszcza zaś w kimś wyżej od nas postawionym. Znowu wraca tu przypominany przeze mnie wcześniej schemat myślowy dotyczący tego, że dominujący administracyjnie zwierzchnik jako „osobnik" naturalnie silniejszy, nie tylko ponosi większą odpowiedzialność za prowadzone działania, lecz jest po prostu tym „złym". Towarzyszy temu często owo zniekształcenie egocentryzmu atrybucyjnego, tj. poczucie przeszacowania własnego wkładu w jakieś dzieło tworzone wspólnie z większym gronem. Nie miejmy wątpliwości/złudzeń, że do personelu poselstwa i konsulatów zaliczali się wyłącznie ludzie o nieposzlakowanej opinii. Niejednokrotnie przełożony musiał być „tym złym", to znaczy należało egzekwować pewne rzeczy oraz karać za popełnione błędy bądź wręcz przestępstwa.

Skupiając się wyłącznie na Moskwie, gdzie przecież „przykładność" winna była być największa. Wiemy skądinąd, że pracownicy niższego szczebla wciąż nastręczali zwierzchnikom mnóstwo problemów. Po pierwsze, nieustannie ktoś z kimś się spierał i kłócił. Często chodziło np. o niespłacone długi. Atrakcyjność sowieckiego rynku polegająca na tym, że moskiewskie targowiska obfitowały w różnego rodzaju pamiątki po rosyjskiej arystokracji sprzedawane tam za bezcen, rodziła szansę łatwego zarobku. Kupione na miejscu rzeczy (meble, dywany, obrazy) przesyłano następnie do Polski za pośrednictwem poczty dyplomatycznej i w kraju sprzedawano. Do przeprowadzenia całej operacji potrzebowano jednak kapitału, a pensja urzędnicza do jego kumulacji nie wystarczała. Pożyczano więc wzajemnie od siebie. Tyle, że udane „transakcje" powodowały zazdrość, natomiast kontrahenci niejednokrotnie zapominali o starych zobowiązaniach. Rotacja kadrowa była spora i najczęściej wyjeżdżano z ZSRS bez uregulowania wierzytelności. Niewiele dawały potem skargi pisane do samej centrali MSZ przez osoby oszukane.

Dawna siedziba Ambasady Polski w Moskwie przy ówczesnej ul. Adama Mickiewicza (1934–1939, 1941, 1945–lata 70.). Fot. Wikimedia Commons/ NVO - Fotografia własna, 2008 r. (CC BY-SA 2.5)

Czasem wystarczyło po prostu odrobinę więcej uwagi czy rozwagi. Jeden z szoferów ambasady, specjalizujący się w przemycie (!) – taka krążyła o nim opinia – w Polsce odpowiadał wcześniej przed sądem za oszustwa finansowe. Dobre koneksje sprawiły, że pracował w ministerstwie. Ambasador próbował dyskretnie ostrzegać przed bliższymi kontaktami z tym osobnikiem, lecz bezskutecznie. Kary dyscyplinarne niewiele tutaj poskutkowały. Wiktor Tomir Drymmer, dyrektor Wydziału Personalnego MSZ (1931-1939), nieco naiwnie i dziecinnie, dziwił się:

> „Jak to jest możliwe? Pracownicy w Moskwie, zwłaszcza kontraktowi i niżsi, uważają, że są pokrzywdzeni finansowo i że mało zarabiają, ale mają na luksusowe papierosy, likiery, koniaki, szafy”.

Zakładano, że obyczaje – pod każdym względem – będą łagodziły kobiety. Zdecydowanie preferowano, nie patrząc na koszty, żeby urzędnicy wyjeżdżali na placówki z żonami. Wielokrotnie wszak tego typu „bufor bezpieczeństwa” nie zadziałał. Łamiąc wszelkie przepisy, upijano się w miejscowych restauracjach. Ponadto utrzymywano bliskie relacje z moskiewskimi prostytutkami. Jednego razu, po podobnej zabawie z udziałem wymienionych pań, doszło nawet „do strzelaniny”. Woźny z polskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego,

wyciągnął broń i zaczął strzelać na wiwat.

Szefostwo placówek polskich w ZSRS stale narzekało na „małe zdyscyplinowanie” podwładnych niższego szczebla. Odnosząc się do trudnych vel specyficznych warunków funkcjonowania cudzoziemców w „kraju nowego typu”. Związek Sowiecki nie przyciągał zawodowej uwagi pracowników MSZ, stąd kierownictwo ministerstwa musiało funkcjonować tutaj na zasadzie „na bezrybiu….”. Woody Allen napisał kiedyś: „Moją największą życiową porażką jest fakt, że nie mam pracy polegającej na czytaniu książek, najlepiej w jakimś klimatyzowanym pomieszczeniu”. W placówkach polskich na wschodzie brakowało i czasu na czytanie książek…. i klimatyzowanych pomieszczeń.

COFNIJ SIĘ